LECH C. KRÓL

0,317‰

Rozdział 1 — fragment

© Copyright by Lech C. Król, 2026

CZĘŚĆ I

Rozpad

ROZDZIAŁ 1

Fasada

Korporacyjne przyjęcie było teatrem doskonałym, zaaranżowanym z takim pietyzmem, że każdy detal sprawiał wrażenie idealnego przypadku. Powietrze było gęste od zapachu sukcesu: perfum, szampana i ukrytej desperacji.

Wielka Sala Balowa nowojorskiego hotelu The Plaza, urządzona w stylu Ludwika XV, który nowobogacka Ameryka uważała za swój, ociekała złotem i podróbkami klasyków. Dwupiętrowe pomieszczenie wspierały złocone pilastry, a z sufitu kryształowe żyrandole rzucały miriady tęczowych refleksów na wypolerowany do granic absurdu parkiet. Pomiędzy nimi amorki, niespeszone własną golizną, spoglądały z wyższością na skłębionych poniżej śmiertelników.

W epicentrum tego wszechświata krążyli państwo Stratton – ucieleśnienie korporacyjnego sukcesu. Dwa ciała niebieskie o idealnie zsynchronizowanych orbitach.

On – John, dyrektor zarządzający amerykańskiego oddziału światowego giganta alkoholowego Apex Dominion Distillers, hojnego sponsora gali, przechadzał się po sali z nonszalancją człowieka, który nigdy nie musiał pytać o cenę czegokolwiek. Garnitur od Toma Forda leżał na nim jak druga skóra. Nawet uścisk dłoni miał podręcznikowy: stanowczy,

suchy i trwający dokładnie trzy sekundy. W sam raz, aby zaznaczyć dominację.

Ona – Liv, jego lustrzane odbicie. Z piękniejszej materii. Ubrana w długą, opinającą suknię w kolorze szampana, inkrustowaną tysiącami drobnych kryształków, zdawała się wcieleniem piękna skończonego. Z punktu widzenia Johna jej rola pozostawała czysto użytkowa. Stanowiła najpiękniejsze i najbardziej kosztowne trofeum w jego gablocie – namacalny dowód, że wygrywa na każdym polu.

Spiritus movens tego przedstawienia była premiera nowego dziecka w portfolio Apex Dominion: Aqualibrium – gazowanego, przesłodzonego napoju alkoholowego w futurystycznych aluminiowych puszkach zdobionych neonowo-pastelowymi maziajami. Oficjalna narracja marki opowiadała o „nowoczesnej odpowiedzi na potrzeby dynamicznych młodych dorosłych". Obiecywała „równowagę" i „świadomy wybór", uzasadniając to stworzonym przez wybitnego noblistę „mechanizmem kontroli uwalniania węglowodanów". W rzeczywistości był to korporacyjny słowotok, gra w *bullshit bingo*, polegająca na żonglowaniu trudnymi słówkami, aby nadać transcendentne znaczenie puszce z bimbrem.

Uczepiony mikrofonu prezes właśnie rozgłaszał tę dobrą nowinę, raz za razem nawiązując do „odpowiedzialności" – pojęcia, którego nie rozumiał i z pewnością nie zamierzał stosować.

Jebać odpowiedzialność, prychnął w myślach John. *Czterdzieści gramów cukru na puszkę, żeby zamaskować smak taniej zbożowej wódy!*

Tajemnicą poliszynela było, że prawdziwym adresatem marki nie byli żadni „młodzi dorośli", cokolwiek to enigmatyczne określenie miałoby znaczyć, ale gówniarzeria. Licealiści. Gimnazjaliści. Dzieciaki o kubkach smakowych ukształtowanych na hektolitrach gazowanego ulepku.

Dlatego na inauguracji Aqualibrium tak licznie zagościli politycy, a sponsor wyłożył ćwierć miliona dolarów, aby zaproszeni senatorowie mogli skubnąć przepióreczkę w sosie porto i poklepać się po plecach z korporacyjnymi bonzami. To była skalkulowana inwestycja w polityczną amnezję. Prewencyjne rozbrojenie moralnego oburzenia, które

niechybnie wybuchnie, gdy z całkowicie niezrozumiałych powodów wystrzelą statystyki zatruć alkoholowych wśród nieletnich.

Obserwując salę, John namierzył wyznaczony przez marketing cel: senatora Fallowaya, mężczyznę o twarzy spalonej od solarium i uśmiechu tak białym, że zdawał się emitować własne światło. Ruszył w jego stronę, a tłum ustępował mu miejsca, instynktownie uznając jego prawo do zajmowania każdej przestrzeni, której zapragnie. Liv podążyła za nim. Jej biodra kołysały się w rytmie, który znawcy tematu uznaliby za zmysłowy, lecz w żadnym razie nie kokieteryjny.

— John, mój drogi! — Głos senatora był tubalny, stworzony, by grzmieć na wiecach. Uścisnął dłoń Johna, drugą ręką chwytając go za ramię w typowym dla polityków geście fałszywej serdeczności. — Wspaniała impreza! I ten nowy produkt. Aqualibrium, tak? Odpowiedzialność! Świadomy wybór! Genialne! Właśnie tego potrzebuje młode pokolenie!

Młode pokolenie potrzebuje perspektyw, nadęty bucu.

Senator Breckin Seraphin Falloway był typowym przedstawicielem swojego gatunku: politykierem, zapatrzonym w przeszłość (dobrze już było) i tradycję (bo każda zmiana jest na gorsze), gotowym dla kariery zrobić wszystko (bo się opłaca). Pomimo lokalnych sukcesów zabetonowanych łapówkarstwem, zwanym w Ameryce lobbingiem, Falloway lubił mówić dużo, robić mało, ale w karierze naprawdę przeszkadzało mu kiepskie wyczucie, kogo całować w dupę. Doskonałym podsumowaniem jego politycznych inklinacji był golden retriever o imieniu „Patriota", do którego senator zwykł wołać: „Do nogi! Kundlu!".

— Drogi panie senatorze! — odparł John, uśmiechając się szerzej. — Cieszę się, że podziela pan naszą wizję. Chcemy zapewnić ludziom równowagę dzięki wolności świadomego wyboru, opartego o indeks glikemiczny.

Falloway ryknął śmiechem, odsłaniając rząd idealnych zębów. Zapachniało szampanem i czymś znacznie mocniejszym.

Do ich grupy dołączył Tanaka – tytan z japońskiego konglomeratu handlowego, rozważający rozpicie Azji za pomocą Aqualibrium. Był drobnym, eleganckim mężczyzną. John odnotował ze zdziwieniem, że twarz Tanaki, zazwyczaj o naturalnie żółtawym odcieniu, pokrył niepokojący rumieniec. Japończyk uchodził za abstynenta, a w świecie wielkiego biznesu publiczne pijaństwo było oznaką słabości.

Tanaka uśmiechnął się, niepewną ręką wznosząc toast. Jego czoło lśniło od potu i wyglądało, że odjeżdżał mu peron.

— Bardzootrzeźwiające — wydusił z trudem.

— Prawda?! — zagrzmiał Falloway i z całej siły klepnął Japończyka w plecy.

— Aaabsoluuutnie! — potaknął John.

Zabrzmiał lekko niezbornie i kątem oka zauważył, jak nienagannie wypielęgnowane palce Liv zacisnęły się mocniej na kryształowej nóżce kieliszka. Lata życia z alkoholikiem nauczyły ją wychwytywać charakterystyczne zmiany w jego głosie.

Kombinuje, gdzie się, kurwa, najebałem.

Tyle że to nie miało sensu. John przez cały wieczór pił tylko bezalkoholowe Pure.

— John! Kochanie! — zawołała radośnie, chwytając go czule za ramię i boleśnie wbijając paznokcie w biceps. — Musisz opowiedzieć panu senatorowi o naszym nowym jachcie! Nazwaliśmy go „Aqualibrum"! Bez „i"!

— Nazwa Aqualibrium to pomysł Liv. Jest genialna, jeśli chodzi o nazwy — skwapliwie skłamał John. Nazwę wymyślił zespół marketingowy po sześciu miesiącach torturowania konsumentów w salach z lustrami weneckimi. Liv wolała: „Jebać biedę".

Wtedy stało się coś, co wykraczało poza skalkulowany scenariusz imprezy. Urodziwa Azjatka, którą John kojarzył z TikToka jako Narezu Velun, postanowiła publicznie zamanifestować poparcie dla słów prezesa.

— Zaaaaświaaaadome! — zakrzyknęła bełkotliwie, unosząc kieliszek.

Narezu słynęła z flambirowanych dań o absurdalnej kaloryczności i od dawna była na celowniku działu marketingu Apex Dominion. Teraz jednak zachowywała się niezgodnie z tonalnością marki – donośnie i mamrotliwie.

Gdy, schodząc z podwyższenia, zrobiła kolejny chwiejny krok, szpilka jej buta ześlizgnęła się z gładkiej krawędzi. Narezu na ułamek sekundy zawisła w powietrzu, a kieliszek wystrzelił z jej dłoni, rozbryzgując płyn w lepką aureolę wokół jej głowy.

Upadek nie był dramatyczny. Kolana influencerki ugięły się, a ona wylądowała na czworakach, z twarzą przy butach osłupiałego prezesa. Jej kusa sukienka podjechała w górę, odsłaniając koronkowy pas do pończoch oraz nagą prawdę pod spodem. Po sali przeszedł szmer obowiązkowego zgorszenia.

Kobieta przez chwilę klęczała nieruchomo. W końcu uniosła twarz, uśmiechając się głupkowato. Sekundę później chmara usłużnych kelnerów spionizowała pannę i rozpoczęła osuszanie parkietu.

Z sufitu przyglądały się temu obojętne aniołki. Nie pierwszy raz widziały kogoś, kto wystawił na widok publiczny goły tyłek, ale nigdy nie wypowiadały się oficjalnie w tej kwestii. Dla odmiany pan Tanaka, w poczuciu urażonej godności narodowej, stał sparaliżowany, obserwując, jak lepka plama wsiąka w szmaty zdobione haftowanym w złocie logo hotelu. Uśmiech Johna pozostał nienaruszony, nawet gdy uświadomił sobie, że twarze Narezu i Tanaki zdobi identyczny, niezdrowy rumieniec.

— Kiedyś prawie tak samo się wywaliłem — szepnął ze współczuciem, pochylając się w stronę Japończyka. Kłamstwo było gładkie i tak perfekcyjnie podane, że przez moment John sam w nie uwierzył.

Pan Tanaka łypnął na niego, wyrzucając z siebie potok japońskich słów, z których John wyłapał jedynie znane mu skądinąd „cimpoko". Mimo to potakiwał ze śmiertelną powagą, jakby każda zgłoska była perłą mądrości, a nie bełkotem człowieka przegrywającego walkę z aldehydem octowym. Drobny akt fałszywej empatii zadziałał i misja ratunkowa zakończyła się sukcesem.

Chwilę później Johna opadł rój trutni z Apex Dominion Distillers. Źródłem tego fenomenu była obecność nowego CEO firmy, bezpośredniego przełożonego Johna. Wacek de Korrnishon był niski, krępy i wciśnięty w smoking opinający jego korpus tak ciasno, że wyglądał jak farmaceutyczny produkt do aplikacji *per rectum*.

Kilka dni wcześniej człowiek ten objął prezesurę, a z biurowych przecieków wynikało, że otrzymał stanowisko w drodze absolutnego nepotyzmu. Sam ten fakt nie byłby jeszcze problemem – korporacyjna Ameryka regularnie widuje gorsze rzeczy – ale firma od tygodni odnotowywała systematyczny spadek przychodów, którego źródła nikt nie potrafił zdiagnozować. Z Wackiem u steru nie mieli na to żadnych szans. Wacek nigdy nie szukał przyczyn. Szukał winnych.

Tej nocy John miał okazję poznać drugie oblicze swojego szefa. W otoczeniu prawdziwej władzy, polityków, dziennikarzy i influencerów, Wacek kurczył się jak tania koszula w gorącej wodzie.

Kulminacja niezręczności nastąpiła, gdy dołączył do nich Steven. Oprócz oficjalnej funkcji burmistrza Nowego Jorku Steven był szarą eminencją i pełnił rolę sekretarza stanu. Mianowana sekretarz zapewne znała osobiście Ramzesa I. Była tak stara, że z trudem umiała się przedstawić – i dość stara, by bez konsekwencji zwalać na nią wszystkie wpadki.

— John! Liv! — Głos Stevena brzmiał ciepło i autentycznie. Uścisnął dłoń przyjaciela i szarmancko objął Liv, całując ją w policzek. — Wyglądasz olśniewająco! John, mam nadzieję, że doceniasz, jaki skarb ci się trafił.

Liv zachichotała z perfekcyjnie udawaną skromnością. John znał Stevena z czasów, gdy był on tylko dobrze zapowiadającym się, acz mało znaczącym politykiem, a John nie był jeszcze ważnym dyrektorem. Liv nie znała żadnego z nich i nie wypijała trzech kieliszków szampana, żeby przetrwać wieczór. Piła wódkę.

— Panie burmistrzu! Jestem Wacek de Korrnishon, CEO Apex Dominion. To dla mnie ogromny zaszczyt! Czytałem założenia pańskiej polityki fiskalnej. Genialne!

Gówno tam czytałeś, pomyślał John, walcząc z kolejnym zawrotem głowy.

Steven uśmiechnął się promiennie.

— Miło mi pana poznać. Gratuluję nowego produktu. Doskonały... wybór.

Wacek brnął dalej, sypiąc koślawymi komplementami i żarcikami, na które biurowe przydupasy reagowały gorliwym rechotem. W końcu Steven wymówił się koniecznością przywitania z kimś ważnym. Wacek nie złapał aluzji, a jego uwaga odpłynęła w stronę kłębiącego się na drugim końcu sali ekosystemu influencerów.

I wtedy John znów to poczuł. Wyraźniej.

Kryształy żyrandoli rozmyły się w świetliste smugi, a gwar przyjęcia zlał w niski, dudniący dźwięk. John od kilku dni budził się z watą w głowie i drżeniem w palcach, więc tego dnia przezornie postanowił nie pić. Mimo to był w połowie drogi do alkoholowego niebytu. Z niepokojem potarł palcami wnętrze dłoni, próbując po mrowieniu skóry ocenić, jak bardzo jest pijany.

Jak jest? zagadnęły paluchy.

Oj, jęknęła dłoń.

Aby osłabić działanie alkoholu, którego nie tknął, zjadł kilka koszernych krakersów z gęsimi wątróbkami i karmelizowaną cebulką. Specjalność szefa kuchni.

Wtedy właśnie Wacek dopadł kompletnie już zalaną Narezu, która podpierała ścianę obok fresku „Bachus w otoczeniu nimf". Jej twarz płonęła nienaturalnym rumieńcem, a oczy nie ogniskowały się na niczym konkretnym. Wacek, ignorując jej stan, nawijał:

— ...i właśnie dlatego, panno Narezu, uważam, że synergia między pani marką a Aqualibrium jest po prostu idealnym przykładem świadomego wyboru! Pani dociera do naszego kluczowego targetu. Wyobrażam to sobie tak: robi pani live'a, gotuje swój tęczowy, słynny ramen, a obok – cudnie wyeksponowana puszka Aqualibrium. To nie będzie jakiś product placement, tylko lifestyle integration! Storytelling!

Narezu chwiała się coraz bardziej, a jej oddech stawał się szybki i płytki. Wyglądało, że zaraz pojedzie do Rygi, i John nie był pewien, czy tak podziałał na nią alkohol, czy Wacek.

W końcu Wacek zakończył laudację i popatrzył na Narezu z wyczekiwaniem. Kobieta zamrugała. Jej usta przez chwilę poruszały się bezdźwięcznie, ale zebrała się w sobie, przełknęła i wybełkotała:

— Kasa, misiu, kasa.

Nie mogąc opanować rozbawienia, John odwrócił głowę. Liv objęła go czule i mocno kopnęła w kostkę.

— Doskonale! Wiedziałem, że jest pani kobietą biznesu! Mój dział marketingu będzie w kontakcie — powiedział Wacek, po czym odwrócił się i odmaszerował, zostawiając Narezu rzygającą na własne, wysadzane kryształkami buty.

Coś było fundamentalnie popaprane. I to nie tylko z nowym szefem Johna oraz pijanymi gośćmi. To sypała się rzeczywistość.

Ciąg dalszy w książce. Premiera 1 grudnia 2026 · 317promila.pl